



Mirosław Derecki

RZECZ W UCZUCIU A NIE W GĘBIE...

Wydana ostatnio, interesująca książka Małgorzaty Szejnert o życiu współczesnej Polonii amerykańskiej – „Borowiki przy ternpajku”, kończy się rozdziałem zatytułowanym: „Mówią Michał Królewski i rówieśnicy”. Młody Amerykanin polskiego pochodzenia z Detroit wyjechał jako stypendysta Fundacji Kościuszkowskiej na letni kurs kultury polskiej, zorganizowany w Krakowie przez Uniwersytet Jagielloński. Po powrocie do Stanów Zjednoczonych, odpowiadając na ankietę Fundacji, czy uważa ten kurs za pożyteczny, czy utrwalił on w nim i w jego kolejach poczucie polskości i czy pobyt w Krakowie miał wpływ na jego przyszłość, napisał między innymi: *Najbardziej podobało mi się zwiedzanie historycznych zabytków, wykłady o kulturze polskiej w języku angielskim i spacery po Krakowie, podczas których spotykałem się i rozmawiałem z Polakami (...) Nie zamierzam już zdobywać magistra z literatury angielskiej. Będę pisał pracę magisterską, w której porównam literaturę polską i angielską w okresie Romantyzmu.*

To było kilka lat temu. Michał Królewski uczęszczał wówczas do Oakland University. Wtopiony w trzytysięczną społeczność akademicka, w której można było doliczyć się zaledwie trzech Amerykanów polskiego pochodzenia, studiował socjologię oraz literaturę angielską. Czuł się Amerykaninem w każdym calu, jego dziadkowie przyjechali jeszcze na początku XX wieku do Detroit z ubogiej wsi rzeszowskiej i osiedlili się w polskiej dzielnicy Hamtramck. Bardzo stare dzieje. Jediną pozostałością polskości rodziny Królewskich była „polska wigilia” oraz „polski bigos” i „polski kielbasa”, konsumowane od czasu do czasu z łąką w oku.

Niewybredne dowcipy na temat Polaków opowiadane przez kolegów - studentów sprawiły, że w pewnym momencie, trochę na zasadzie przekory, Królewski zaczął interesować się swoim pochodzeniem. Ile jest prawdy w tym co mówią koledzy? Jak to było z historią i kulturą polską? Czy z polskiego pochodzenia należy być dumnym, czy też trzeba się go wstydzić? Sięgnął po książki o Polsce - w języku angielskim, bo znał wówczas zaledwie kilka słów polskich - zaczął śledzić artykuły o Polsce i Polonii.

W taki oto sposób przyszedł socjolog i literaturoznawca zaczął „odnajdywać siebie”, swoje miejsce w społeczeństwie amerykańskim. I w ostatnich latach - nie on pierwszy. Prezes Kongresu Polonii Amerykańskiej, Alojzy Mazewski, w wywiadzie, który ukazał się 11 listopada 1970 r., w „Życiu Warszawy”, stwierdził m. in.: *Do bardzo ciekawych zjawisk (w życiu Polonii - przyp. M. D.) należy odradzanie się świadomości etnicznej w trzecim i czwartym pokoleniu Amerykanów polskiego pochodzenia, połączone z poszukiwaniem (w języku angielskim) dziedzictwa historycznego i kulturalnego polskich przodków.*

Ta „powracająca fala” polskości obejmuje coraz szersze kręgi młodzieży. „*Stany Zjednoczone mają dwieście lat. Polska - pięć razy tyle! To było dla mnie wspaniałe odkrycie i powód do chluby*” - zwierzał mi się kiedyś jeden z Amerykanów polskiego pochodzenia spotkany w londyńskim pubie.

Ale nie o wspominki londyńskie tutaj chodzi. Oto w centrum Lublina, w gabinecie kierownika Liceum Muzycznego przy ulicy Plażowej, siedzi naprzeciw mnie młody, długowłosa blondyn z sumiastym, staropolskim wąsem i powtarza niemal słowo w słowo to, co mówił spotkany w Londynie Amerykanin. Michał Królewski z książki Małgorzaty Szejnert zmaterializował mi się nagle w żywego, pełnego wigoru i inwencji chłopaka. Więcej: gdy kilka lat temu wypowiadał się na łamach „The Kościuszko Foundation Monthly Newsletter”, na temat doświadczeń wyniesionych z krakowskiego kursu - w języku angielskim, dzisiaj Michał mówi poprawnie po polsku, zacinając się tylko od czasu do czasu na niebezpiecznych dla cudzoziemca rafach językowych, najeżonych różnymi „sz” i „szcz”.

Czy kurs na Uniwersytecie Jagiellońskim wpłynął na jego przyszłość? W 1969 r. przyjechał do kraju swoich przodków pełen wątpliwości i niesprecyzowanego niepokoju. W 1973 r. jest już w „Starym Kraju” trzeci raz. Tym razem jako jeden z wybijających się w Stanach Zjednoczonych młodych działaczy polonijnych: Director of Polish American Folk Theatre, kierownik Polsko-Amerykańskiego Teatru folklorystycznego w Detroit, skupiającego osiemdziesięciu w wieku od 15 do 26 lat entuzjastów polskiej kultury i polskiej sztuki ludowej, redaktor naczelny miesięcznika „Pokój” i kierownik Biblioteki im. Adama Mickiewicza. Przyjechał na czele trzydziestoosobowego zespołu taneczno-wokalnego, zaproszony na dwa miesiące przez Towarzystwo Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”.

Ma niespełna dwadzieścia cztery lata, a pasji do pracy i inwencji za dwudziestu czterech ludzi. Nauczyciel z zawodu, menadżer z bożej łaski! Głowa amerykańska, temperament polski!

Pięć lat temu, jeszcze przed pierwszym wyjazdem nad Wisłę, postanowił zorganizować polski zespół folklorystyczny. Zdołał zgromadzić wokół siebie sześciu entuzjastów

„przedsięwzięcia” oraz „kapitał zakładowy” w wysokości ...30 dolarów. Dzisiaj Polsko-Amerykański Teatr Folklorystyczny ma w banku 4 tysiące dolarów oraz własny dom-świetlicę.

W Lublinie dzień pracy zespołu jest wypełniony zajęciami od rana do wieczora. Przed południem - cztery godziny próby: tańce lubelskie i rzeszowskie. Po obiedzie - dwugodzinny lektorat języka polskiego. Potem zwiedzanie miasta albo wykłady z historii i kultury polskiej. Wieczorem znowu próba. Wszystko pod okiem doświadczonych instruktorów.

W Detroit zespołu nie stać ani na wykładowców, ani na instruktorów. Michał Królewski studiuje więc podręczniki tańca ludowego, ślęczy nad przysłanymi z Polski nutami, nad zbiorami ludowych pieśni. Rano i po południu członkowie zespołu pracują w fabrykach. Inni tkwią w szkole albo na uniwersytecie; wieczorami, trzy razy w tygodniu, biegną na kilkugodzinną próbę do swojego domu-świetlicy przy Fonelon Street. Bywa, że spotkają tam przybysza z Polski, jak na przykład owego Górala spod Zakopanego odwiedzającego rodzinę, którego Królewski namówił na współpracę i który z całym samozaparciem uczył młodzież „drobionego” oraz pohukiwania juhasów.

Czym jest właściwie Polsko-Amerykański Teatr Folklorystyczny? W jego ramach mieści się - najbardziej eksponowany - zespół taneczno-wokalny, działający raczej od przypadku do przypadku teatrzyk dramatyczny, działalność wydawnicza („czasopismo „Pokój”) i oświatowa (zorganizowana przez Królewskiego Biblioteka im. Adama Mickiewicza oraz nauczanie języka polskiego w „Szkole Piastowskiej”). Czy Teatr jest organizacją społeczno-kulturalną, spółdzielnią, młodzieżową „komuną”, swego rodzaju „przedsiębiorstwem”? Wydaje się, że wszystkim po trochu. Ale przede wszystkim jest to samowystarczalna grupa młodych Amerykanów myślących w sposób nowoczesny, wykształconych i wyzbytych kompleksów wobec anglosaskiej części społeczności amerykańskiej (co często cechuje pokolenie ich rodziców lub dziadków), poszukujących „dziedzictwa przodków” i nierzadko łatwiej znajdujących wspólny język z mieszkańcami „Starego Kraju”, niż z przedstawicielami rodzimej, tradycyjnie myślącej Polonii.

Królewski zarzynał, jak się rzekło, z trzydziestoma dolarami. Już po roku rozkręcił interes na całego. Dochód z występów, organizowanych w bezpłatnie użyczonych przez polskich księży salach parafialnych, szedł w całości na konto bankowe Teatru. Dziewczęta z zespołu piekły ciasto i sprzedawały je na polskich kiermaszach. Chłopcy handlowali na ulicach cukierkami kupowanymi po cenach hurtowych w wytwórniach. Królewski potrafił oczarować jednego, drugiego i dziesiątego Polonusa, aby kapnął z własnej kiesy po parę dolarów na rzecz Teatru. Z czasem zaczął dawać pewien dochód miesięcznik „Pokój”,

redagowany społecznie przez grupkę entuzjastów (nakład 3 tys. egzemplarzy, cena 25 centów), no i opłaty za naukę w „Szkołe Piastowskiej” (pół dolara od osoby za lekcję). Poza tym każdy z członków opodatkował się dobrowolnie, stosownie do swoich dochodów, na rzecz Teatru.

W początkach sami szyli stroje regionalne, po kilku latach stać już ich było na zakup wełniaków, kierpców, sukman w „Cepelii”. Gdy nie mogli znieść więcej tułaczki po cudzych świetlicach, kupili zrujnowany domek, sami go wyremontowali, a dzisiaj myślą już o nabyciu na raty dużego domu w samym sercu Hamtramck.

W ostatnim numerze „Pokoju” - pisma trochę jeszcze naiwnego, trochę zagubionego wobec problemów politycznych i społecznych wstrząsających światem, ale jakże silnie przepełnionego miłością do wszystkiego, co polskie - piszą w artykule wstępnym: „Onward youth of Polonia! We build for the present and the future!... - Naprzód młoda Polonio! Pracujmy dla terażniejszości i z myślą o przyszłości! Odrzućmy stare nawyki myślowe. Sięgajmy po gwiazdy nieosiągalne!” Co można też wyrazić inaczej: „Mierzmy siły na zamiary”!

Jak dotąd, hasło rzucone przez Michała Królewskiego i jego rówieśników nie wydaje się gołosłowne.

A oto inny członek Teatru - Wawrzyniec Chomiński. Jeden z najstarszych stażem i wiekiem w zespole - 26 lat. Absolwent slawistyki na uniwersytecie w Oakland. Znajomość greki, łaciny, języka polskiego, słowackiego, rosyjskiego i francuskiego. W Teatrze Folklorystycznym tańczy i śpiewa, w „Pokoju” redaguje dział literatury polskiej. Jego rodzina będzie wkrótce obchodziła stulecie przybycia na ziemię amerykańską. W domu język polski zanikł przed czterdziestu laty. Wawrzyniec z matką, ojcem i rodzeństwem może porozumieć się tylko po angielsku. Zresztą nie wydaje mu się to niczym specjalnie dziwnym. Tak samo jest w bardzo wielu rodzinach. I można równie dobrze czuć się Polakiem ze znajomością jak i bez znajomości języka polskiego. Rzecz w uczuciu, a nie w gębie - powiada. Ale zaraz dodaje ze smutkiem: *Mój ojciec należy do straconego pokolenia Amerykanów polskiego pochodzenia. On stara się za wszelką cenę być tylko Amerykaninem.*

Wawrzyńca zwerbował do zespołu Michał, zaraził pasją do wszystkiemu co polskie. To dzięki Michałowi uległa fascynacji polskim folklorem Barbara Gronet i jej siostra Krystyna. Absolwentki gimnazjum św. Władysława, od kilku lat tańczą w zespole. Barbara zostaje na rok w Polsce. Chce nauczyć się trudnej sztuki koronkarstwa i haftu ludowego.

Inaczej z Wawrzyńcem: Fundacja Kościuszkowska zaproponowała mu roczne stypendium na studia w Krakowie, ale Wawrzyniec chciałby odłożyć to na później. Zbyt

wiele jest w tej chwili do zrobienia w Detroit - mówi. Rośniemy w opinii tamtejszego społeczeństwa i nie możemy tego zaprzepaścić. Mamy już zespół, bibliotekę i własne pismo. Zaraz po powrocie zaczynamy czynić starania o zakupienie w miejscowej rozgłośni radiowej godzinnego programu. Na początek - raz w tygodniu. Będziemy w tym programie mówili o Polsce, Polonii i polskości. Jak my to wszystko widzimy.

Niektóre bardziej konserwatywne koła Polonii zarzucają im, że działają i wypowiadają się zbyt ostro, w sposób nieprzemyślany, na temat takich czy innych posunięć Polonii, na temat operowania jej majątkiem, że wywlekają te sprawy na widok publiczny. Ale mają też wielki krąg zwolenników. Szczególnie ich akcja gromadzenia książek dla Biblioteki im. Adama Mickiewicza, liczącej już 8 tys. tomów (polski dział Biblioteki Miejskiej w Detroit ma 10,5 tys. książek), spotyka się z ogromną życzliwością Polaków z zagranicy i z Polski. Po apelu, jaki zamieścili w warszawskich „Perspektywach”, osoby indywidualne i organizacje społeczne, uczniowie, harcerze, nauczyciele, zaczęli słać na ich adres setki książek. Mgr Danuta Kwiatek z Zabrza do paczki z książkami dołącza list: *Drodzy Rodacy! (...) Jesteśmy pełni podziwu dla Waszego zapachu, dla wielkiej sprawy jaką jest utrzymanie polskości na obczyźnie. (...) Jestem nauczycielką historii i mam sposobność wiele o Was mówić z młodzieżą, która bardzo interesuje się problemem polskiej emigracji. (...) O ile tylko będę w stanie w jakiś sposób Wam, Drodzy Rodacy, pomóc - proszę na mnie liczyć.*

Felicja Kułakowska z Chicago: *(...) Jeżeli Panowie której soboty zamierzają dłużej zabawić w Chicago, to proszę się ze mną skomunikować, bo moja przyjaciółka, pani Lydia Pucińska, będzie miała trochę książek i obiecała zaprenumerować miesięcznik „Pokój”. Prawdopodobnie i pani Trzaskowska również przekaże paczkę książek.*

I wreszcie bardzo charakterystyczny list od Michaela Sydeka, pisany po angielsku: *(...) Please, for the sake of our glorious forefathers... - zaklinam was na pamięć naszych sławnych przodków, na pamięć o przyszłych pokoleniach Polonii, nie traćcie nadziei, nie zrezygnujcie z celu jaki sobie wytknęliście. Wśród Polonii znajdują się ludzie oddani waszej sprawie bez reszty. Nadejdzie dzień, kiedy na terenie kraju (USA - przyp, M. D.) zaczną wyrastać organizacje podobne do waszej i wtedy wy staniecie się dla nich przykładem. (...) Jesteście „Światłem Nadziei” całej Polonii! Powodzenia!*

W maju br. znany magazyn ilustrowany „Playboy” zamieścił ubliżający Polakom artykuł Bruce McCalla - „Poland's Sub Goes Club”. 12 maja przed gmachem „Playboya” pojawia się 24-osobowa grupa młodych Amerykanów polskiego pochodzenia z Michałem Królewskim na czele. Przyjechali tutaj z odległego o 300 mil Detroit, aby dać wyraz swemu oburzeniu. Chłopcy i dziewczęta ubrani są w regionalne stroje krakowskie. Przez kilkanaście

godzin, nie zważając na złą pogodę i chłód, demonstrują milcząco przed wejściem do redakcji. Na transparentach, które przywieźli ze sobą, widnieją napisy: „My pokazujemy prawdziwy wizerunek polskość”, oraz: „Polska kultura jest zbyt bogata, żeby ją można było zniszczyć”. Wśród przechodniów zostaje rozdanych 5 tys. ulotek protestacyjnych, wydrukowanych przez Teatr Folklorystyczny, do „Playboya” nadchodzi gruby plik listów oburzonych czytelników. Klika dni później prasa i radio donoszą o katastrofie statku, wiozącego do Europy najnowszy numer „Playboya”. Cała przesyłka, 200 tys. egzemplarzy, ulega zniszczeniu: Michał Królewski nie może sobie odmówić malej złośliwości: pisze do Hugh'a Hefnera, twórcy i redaktora naczelnego „Playboya”: *Sam Pan widzi, że nie należy wyśmiewać się z Polaków ani lekceważyć ich. Odczuł Pan na własnej skórze, do czego jesteśmy zdolni... Nawet na Oceanie dosięgniemy Pańskiego „Playboya”.*

Jeden z członków Teatru Folklorystycznego zwierzył mi się: *Kiedy kilkadziesiąt lat temu moi chłopscy przodkowie wyruszyli z Polski w poszukiwaniu chleba, mieli przed sobą cały świat do wyboru. Przypadek zrzędził, że wybrali jako drugą ojczyznę Stany Zjednoczone. I teraz dręczy mnie myśl, czy tak naprawdę to ja jestem Polakiem. Amerykaninem zaś tylko przypadkowo?*

Oto jedno z pytań, jakie zadaje sobie dzisiaj trzecie i czwarte pokolenie Amerykanów polskiego pochodzenia.

Pierwodruk : „Kamena”, 1973, nr 16, s. 1,8.